

# Dekameron 2020: Laureaci (13) "Bałkański spleen"

**Piotr Jurkiewicz**  
**"Bałkański spleen"**

A one tak stały... Nie potrafię tego zrozumieć. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Kiedy biegałem po podwórku ze szczerym uśmiechem na ustach, ufny w nowy porządek świata, który akceptowałem bezgranicznie, niczego nie byłem świadom. Nie miałem pojęcia o tym, co tam.

Ale jakie to ma teraz znaczenie.

Kupowaliśmy garściami gumy Turbo. Prenumerowaliśmy Video Świat. W każdą sobotę chodziliśmy pod Dom Kultury i wymienialiśmy się kasetami VHS. Pamiętam również pierwsze komputery na których niszczyliśmy wirtualnych przeciwników; Comodore 64 a potem Amiga 500 na dyskietki. Graliśmy ochoczo. Zacierzewieni w pragnieniu przejścia kolejnego levelu.

A oni tam ginęli.

Dlaczego o tym myślę? Jest tak wiele konfliktów więc czemu tamten tak głęboko wrył się w pamięć. Czyżby tylko dlatego, że toczył się na moim kontynencie? Wtedy, kiedy ja ufny w westernowy podział świata białem brawo Amerykanom wypisując na murach radzieckich koszar hasło: Sowietci do domu!

Zresztą, gdyby nie oni...

Przyjeżdżali dziennikarze, filmowcy – węszyli, dopytywali, skomleli o newsa. A jak im się nie udawało to spiskowali i tumanili się whisky w lobby hotelowym. Jak tylko się skończyło rozmyli się w powodzi kolejnych. Szukali czegoś, do dziś nie wiem czego. Dobrego zdjęcia? Przejmującego ujęcia? Trafienia w sedno? Snajperskiego szczęścia?

Świadkowie czy obserwatorzy? Czy to prawda, że od Troi do Mostaru, czy innego Sarajewa, zawsze chodzi o to samo, zawsze dzieje się to samo? Nieczuli na porady historyków mkniemy bezpamiętnie poprzez łany zbóż z sierpami naiwnie wierząc, że pole jest nasze, zawsze było nasze.

Siedzę teraz w domu. Jest zima. Słońce kaleczy się o chmury. Zarysy gór ledwo co widoczne. Tutaj śnieg pada inaczej. Nadchodzi mgła zakrywa wszystko w promieniu kilku kilometrów, kiedy odchodzi jest biało. Spokój. Z oddali widać zamarzające jezioro.

Tak więc siedzę i patrzę myśląc o tych wszystkich ludziach, którzy podczas wojny poprosili o azyl w kraju złotej wolności i neutralności. Uciekli z Bałkanów, zostali przyjęci. Minęło już prawie ćwierć wieku. Kim są ci ludzie? Kim są moi rówieśnicy?

Przeważnie jeżdżą sportowymi autami, w sportowych ubraniach, z nowoczesnymi telefonami przylutowanymi do nerek, popijając napoje energetyczne marki OK. Schaisse Jugo – tak ich tutaj nazywają.

Cień odrazy rzuć katem. Nie do końca zasymilowani. Dostali możliwość bytności w kRaju. A jednak obcy, ukąszeni jadem gorszości. Pajacują, wraz się stabilizują. Reguły nowego kRaju wpajane od dziecka robią swoje. Płacz poprzez śmiech. Hydry wśród jamochłonów.

A one stały i patrzyły...

Tępy wzrokiem filtrowały powietrze jaskiń do których powrzucono ściervę ich braci. Identyfikowały. Beznamiętnie. Bez zająknięcia. Z nieszczelnych worków dobywał się smród. Iglice woni wybijały się ponad czarnoziem. Stały i patrzyły jak wszystko wiruje, jak przestrzeń szarpia harpie odkrywczości.

Poznając prawdę brudzimy sobie paznokcie. Milczenie i zgoda na to, co zastanę zubożeniu trwanie, katatonizuje je. Mamrotamy, szeptamy, nie dywagujemy jak archeolodzy. Bez podniet. Brud zachodzi, wistacza się w krwioobiegu. Robaki myśli plądrują jamę trzewi. Przypominają narkoleptyczny taniec kukiełek wokół kwiatu tuberozy.

Przybądźmy tam i wynieśmy naszych współistotnych, bez których nie byłoby nas, nie byłoby tożsamości plemienia. Iskra, iskierka, iskiereczka podpalająca lont budzi demony, o których nie śniło się nawet takim satanistom jak Karol Marks.

Bliżej, bliskość – poczucie, że tu i teraz, że wspólnota jest trwałą wartością, która buduje nas jako istoty ludzkie, wzbogaca organizmy niczym produkty OTC; mineralizuje, dostarcza ulepszaczy, które tworzą świat znośniejszym.

Skąd tyle lamentu, skąd tyle jęków przez wieki w nas goreje?

Przez cały żywot uparcie tkwimy w przekonaniu, że znak znaczy, że symbol odkrywa. Przez całe życie, które przelewa nam się przez palce uparcie tkwimy w przekonaniu, że nasze starania, nasze działania, nasze osiągnięcia to coś nieporuszonego, niezmiennego, niepodzielnego. Przez całe życie w którym trwamy jak w leju jakim, przez który nas przepuszczają, aby znowu odcedzić i jak wraz przepuścić, uparcie twierdzimy, że nasze trwanie jest bez końca i początku, żeśmy pomniki trwalsze od spiżowych bram za którymi kryją się tajemnice wszechświata. Przez całe życie ufamy, że jeśliśmy żywiną myślną to, co jest żywe i myślące jest żywe i myślące po temu, że jest jak ciągutka nierozzerwalne. Stąd nie ma nic innego jak to, że żyjemy i myślimy, bo nieżycie i niemyślenie jest, gdy życia brak i myśli brak. A brak nie może być czymś. Dlatego niebrak braku może tedy tylko być. Tam gdzie jest nieżycie nie ma nas. Tam gdzie myśli brak nie ma nas. Brak to znak pusty, symbol to nieodkrywczy. Jeśliśmy nawet gotowi myśleć brak to tylko jako żywi, nieżywi bowiem nie myśla. Przez cały żywot...

A kiedy to runęło, nagle, ni stąd ni z owąd, ot tak wzięło i się rozsypało jak matczyne koraliki w rękach dziecka. Głowa obolała od nadmiaru wspomnień. Zerwany dach domu. Niebogrzmoty pohukują i rozcinają bezwład powietrza. To kruchość istnienia, to leciwe spojrzenie na samego siebie, wejrzenie w głąb. Próba przekroczenia rozumienia tego czym jesteśmy.

Wylewam mocz przez okno nadal wierząc, że to wszystko będzie trwać, że my będziemy trwać. Ale wiem, że któregoś dnia siwy staruszek przewiązując pomidory spojrzy ku obłemu niebu i zerwie kruchość tejże krotchwili i się to wszystko rozwsćieczy i zgaśnie.

Bukszpan. Na rozdrożu. Stukot serca niemiary. Jakby drzwiami na strychu wiatr wałnął. Rozszczepienie. Grudy zapachu wleka się po zakamarkach trzewi. Marskość wątroby wieloryba. Ahab kuternoga dobijający Moby Dicka. Stary człowiek, który może... a nawet musi, bo nie byłby

człowiekiem.

Za milion lat, kiedy tu powrócimy, zobaczymy te same drzewa, potoki, rozłogi i krzyże z kwiatów. Tylko zamiast klamek będą kody. Tylko zamiast progów na których zostawialiśmy brud spod paznokci będą siatki grafenowe czułe na każdy dotyk.

Za milion lat w kartony naszych domów włożą setki innych, mniejszych pudeł. Nie będą orać, siać i nawozić. Poderzną gardła krzykom prochów przodków, zalepią ule boleści. Czasem coś może zaskrzeczy, coś może zachichocze lecz skanery czułości szybko pazury pokażą i rażą wiązkami dobrodziejstwa.

Za milion lat czym będziecie? Jakie pomniki postawicie? Na jakie wyżyny się wzbijecie? Jakich zasług będziecie autorami? Co po Was zostanie... prócz hekatomb bajtów zagubionych w czeluściach mega centrum danych gdzieś na obrzeżach pustynnej Nevady.

### ***Paralaksa Alfa***

Któregoś pięknego dnia postanowił spotkać się z kobietą z byłej Jugosławii. Jakież to piękne, spontaniczne a zarazem chorobliwe osobowości. Jakby z diabłem absynt pić. Z nimi trzeba oczy dookoła głowy mieć, bo nie wiesz co Cię zaraz spotka.

- Ostatnio umówiłam się z Włochem. Koszmar jakiś. Wyżelowany dupek. Ciągłe o matce i o jej gotowaniu nawijał. W ogóle jaka ta matka zajebista. Rozumiesz? Nawet za kawę nie zapłacił. Tragedia. A Ty skąd jesteś? - rzekła kobieta szukająca faceta, kobieta paląca, kobieta ładna i uśmiechnięta, kobieta mówiąca od razu, kobieta temperamentna, nie lubiąca lodu w drinku.

- Z Polski - odpowiedział.

- Aaa... z Polski. Znałam kiedyś Polaka. Fajny koleś był. Śmieszny. Co tutaj robisz? Podobno tam u Was fajnie się żyje.

Auto zaparkował w centrum. Trudno było, bo porządek wszędzie panuje. Nie wolno parkować jak to Słowianie mają w nawyku. Zaczątek. Początek rozmowy. Spacerują ulicami starego miasta. Ona opowiada, podtańcowuje, uśmiecha się. Sprawdza. Lustruje.

Piją grzańca w jakiejś drewnianej budce. Wokoło mnóstwo Szwajcarów ale nieopodal przy ogniu stoi grupka młodych czarnoskórych chłopców. Łykają wódkę wyborową, trzydziestosześcioprocentową. Innej, polskiej, mocniejszej, nie ma. Dziwne, bo jest rum austriacki, osiemdziesięcioprocentowy. Mahomet nie widzi, bo już ciemno. W dodatku chrześcijańska enklawa. Najbliższy minaret dopiero u Niemców. Mogą więc sobie poszamanić.

Historia ludu z kości dopytuje się o nowe dzieci. Ale jej dzieci muszą być silne, a nie takie w rurkach pomykające między sklepowymi wystawami we fryzurach zaczesywanych na Biebera. Trzeba jej drania, co ją ochroni jakby co, a przynajmniej takiego co alimenty płacił będzie.

Epilog.

Nie wyruchał jej. Nie dlatego, że nie chciała. Jego romantycznej duszy żal zrobiło się, kiedy pokazała w telefonie nagranie dziecka koleżanki, które karmiła kaszką manną. Łyżeczowanie - pomyślał. Była w tej czynności taka świeża, urocza i prawdziwa. Wiedział jednak, że to nie jego prawda, nie jego świeżość i nie padnie na niego ten urok. Zapłacił rachunek. Podziękował za mile spędzony czas.

Wtedy drgnęła. Zrozumiała, że za wcześnie przedstawiała swe marzenia. Mogła to zrobić odpaliwszy papierosa po stosunku. A tak wychodząc musiała zaczepić kilku facetów i to ich poprosić o ogień. Powróciła do gry o lepsze życie.

A jutro wstanie i pójdzie do szpitala podcierać tyłki osowiałym starcom. Będzie do nich przemawiała w *hochdeutschu* ale przełożona nakaże jej mówić w *schwyzertüütschu*. A to język powściągliwy. Zrutynieje, wypali dwie paczki fajek, popłacze w przerwie i znowu popisz przez telefon. Być może pomyśli o wakacjach w Dubrowniku?

### ***Paralaksa Beta***

Deszcz w Dubrowniku. Koty pouciekały z leniwości. Cerkiew serbska służy im za schronienie. W środku katolickiego grodu. Ustasze jak krople przesączają się przez ruiny starego miasta. Kamień po kamieniu – przeszukują. Wszędzie ich pełno. Wolność cenniejsza od złota – podśpiewują podgardla przeciwnikom przecinając. A tamci pochowani gdzieś pośród mroków Archipelagu Elafickiego oczekują flotylli, która wybawi ich ode złego.

Pije kawę i zajada burek z mięsem. Pogaduje sobie z piekarzem i jego dwoma synami. Ich ród przegrał to starcie. Upokorzeni sprzedają chleb powszedni ciemieżycielom. Skrycie marząc, że jeszcze kiedyś los się odmieni. Ale wtedy to im przypadnie rola oprawców. Przejmą to, co mają dziś tamci. Wybiją ich co do jednego. Zlikwidują zdjęcia z Instagrama, Facebooka. A jak komuś przyjdzie do głowy, aby ich osądzać, opłacą sędziów w Trybunałach. Nie popełnią błędów poprzedników.

Na razie cisza. Lekka bryza od morza. Lazurowo jest tutaj i bezpiecznie. Skolonizowani przez turystów tubylcy oddają się za kuny i lipy.

A ta przyleciała ostatnim lotem z Zurychu. Aby odpocząć. Aby się odmienić. Sił nabrać. Wlecze napuchnięte walizki do hostelu. A on ją tam spotka. Choć nie dostrzegł jej w samolocie. Popatrzy prosto w jej czarne oczęta. Nawet się uśmiechnie. Ale potem przejdzie obok. Będąc bohaterem innej historii. Nie mając gotowego scenariusza na odgrywanie roli chorwackiego Fausta. Podarł dresy o sosnę alepską – to go teraz martwi. Bez długich spodni nie wpuszczają do restauracji. A głód po podróży morzy. Na *fritto misto* ma ochotę.